STRAŻNICA POLSKA

REDAKCYA ulica Zielona Nr. 46.
ADMINISTRACYA Rynek, liczba 9.
EKSPEDYCYA
w Trafice (Hotel Żorża), róg Placu Maryackiego i ul. Krętej.

DWUTYGODNIK
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.
WYCHODZI CO DRUGĄ SOBOTĘ.

PRZEDPŁATA
w miejscu kwartalnie . . . . . 75. ct.
" z przesyłką do domu 85. "
na prowincji kwartalnie . . . 90. "
za granicą " 1 złr. — "
Inseraty od wiersza (petit.) 5 ct.

Nr. 19. Lwów, 1. Stycznia 1881. Rocznik 2.

☞ Z dzisiejszym numerem rozpoczynając czwarty kwartał wydawnictwa „Strażnicy polskiej“, upraszamy najusilniej tych pp. Prenumeratorów, którzyby nadal nie chcieli „Strażnicy polskiej“ odbierać, **aby raczyli numer ten zwrócić.**

Przyjaciół naszych i życzliwych nam prosimy o poparcie.

ROK 1881.

I znowu minęła jedna chwila na zegarze wieków, którą nazywamy „rokiem“. A jest to chwila ważna, bo ludzkość chrześciańska przystępuje do wszelkiej pracy rachunku z ubiegłego roku.

Rzeczą jasną, abyśmy i my, Polacy, przystąpili do takiego rachunku po upłynionym już wieku naszego narodowego rozbicia. Otwórzmy więc tę wielką księgę z rubrykami ludzkiemi:

Ma i Winien

Gdy „Duch“ króluje nam w żywocie ziemskim, przejrzyjmy najprzód jego rachunek.

Niestety, dziwna to gospodarka — ale czemuż się dziwić, gdy i on chociaż nie przyobleczony w ciało, tak samo walczy zacięcie, bo spółka jego nierozłączona z ciałem i krwią, przynajmniej na ziemi.

To też nie dziwi nas, że karta „Winien“ niepoślednio jest obciążona. Gospodarka była nie zawsze dobrą. Wiele tej siły ducha zeszło na manowce. Walka tego co Boże, a więc sprawiedliwe, ze złem, z duchem szatanem, trwa uporuie. A że we wszystkiem wola Boża zwycięża, to o zwycięztwo nie ma obawy, jeżeli z naszej strony nastąpi prawdziwa — sumienna skrucha -- nawrócenie.

Tak jest -- tylko wtenczas spodziewać się możemy zbawienia, jeżeli uczynimy ścisły rachunek z żywota, jeżeli ze skruchą uderzymy się w piersi i przyznamy do grzechów, uznając ich grozę.

Maluczki i wielki, jeżeli się zbliżą nawzajem w Chrystusowej miłości bliźniego do siebie, wtenczas po wiekowej niewoli, Łaska Boża spłynie znowu na ziemię Ojców naszych.

Przejrzyjmy rubrykę pracy: Ha! tu zamknięcie rachunku przedstawia wyniki smutne — bardzo smutne.

Wszędzie gdzie spojrzysz, uwidocznia się ruch, ale taki, jakbyś w pracowite mrówisko zmieszał gniazdo szerszeni; — a straszne to wrogi pracy, w obec których duch i siła prawdziwa omdlewają, tocząc straszną zaciętą walkę. Szerszeń to nie pszczoła, nie znosi miodu do wspólnej komory, — ale wyjada i rabuje bezwzględnie, chociażby całe pokolenia padały śmiercią głodową. To samolub! obrzydliwy — szatan widomy na ziemi.

Patrz się na ten ohydnem i wstrętną wonią cuchnący płaz, z jaką pożądliwością czołga się podstępnie i zbliża do wybranej ofiary. Pod siłą wzroku i zimnej piekielnej rachuby trzyma ofiarę na uwięzi tak długo, dopóki jej nie ściśnie kręgami, nie obślini; a potem żywej nie połknie, aby następnie w gnuśności i przesycie lubować się nikczemnem zwycięztwem. Samolub jak wampir napada wybraną ofiarę i chłodząc ją, we śnie zdradliwem upajającym zefirem, wysysa do ostatniej kropli krew — a opuszcza tylko już trupa.

W rachunku pracy naszej o byt, spotykamy się na każdym kroku z tymi szerszeniami i wampirami ludzkości.

Ktokolwiek spojrzy z rozwagą na około siebie — przejmuje go groza, bo nie wie już, gdzie może bezpiecznie stopę postawić.

Gdzie oko zwrócisz na ziemi naszej, wszędzie się spotykasz z nędzą i zniszczeniem.

Z każdym dniem usuwa się coraz więcej tej ziemi z pod nóg naszych; tysiące, kroćie już prawie dziatwy polskiej — opuszcza święte progi rodzinnych chat, aby w zwątpieniu i rozpaczy szukać po całym nieomal świecie przytułku i chleba wtenczas, gdy go szerszenie, płazy i wampiry mają do przesytu i plugawią nasze bogi domowe. Świątynie Pańskie, te jedyne i ostateczne schroniska dla niedoli człowieka, stoją pozamykane lub ogołocone z kaplanów, — przewodników w służbie Bożej.

Szatani ziemscy, którzy śmią urągać Bogu i nazywać się „pomazańcami“ Jego — wydzierają dzieciom naszym mowę ojców, ten skarb i oznakę odrębności, jaką nam Pan Światów nadał na wyłączną własność.

Zapytujemy: czy już może być większy dopóst Boży?

Pomimo tego smutnego rachunku, jaki w ostatnim dniu roku czynimy, duch nasz nie może i nie powinien upadać w walce, bo w obec świętości sprawy za jaką bojuje — prędzej czy później zwycięży.

Obecnie zależy na tem, aby sił naszych niezaprzepaścić i aby nie ginęły marnie.

„Własna obrona“ w żywocie obywatelskim duchowym i moralnym, najpewniejsza jest w skutkach i nie zawiedzie.

Z Nowym rokiem Pańskim z jakim rozpoczynamy dalszy ciąg żywota — użyjmy wszelkich sił, aby zacząwszy od chaty pod słomianą strzechą, aż do pałacu — wyrzucić wszelkie śmiecie, które szerzy moralną zarazę. Starajmy się i pilnujmy, aby przynajmniej młode pokolenie — rosło w czystości ducha.

W obec nędzy, jaka się szerzy i zagraża wyrzuceniem nas z pod rodzinnego dachu, ode chnięciem od domowych ognisk nauczmy się ograniczać w naszych potrzebach — umiłujmy całą siłą duszy i serca to, co Boże, co swoje, co polskie.

W najtrudniejszych chwilach, chociażby w obec najgroźniejszych niebezpieczeństw, nie opuszczajmy rąk, bo czem więcej dola nas przygniata, tem większy mamy obowiązek, podnosić się i śmiałem okiem z silną wolą iść naprzód.

Nie stawiając horoskopów politycznych, bo takie tylko w ręku Boga — odzywamy się natomiast do Matek Po-

ek, tych Westalek przy świętym Zniczu Rodziny i przyszłości, niech ogrzewają błogiem ciepłem syny i córy — bo bez tego chryzma nie zdobędą dla nich lepszej doli i szczęścia.

Tylko razem a szczerze, z całą siłą ducha i woli: — do pracy! do pracy! ale Bożej — ale polskiej!

Zszeregujmy się z tym Nowym Rokiem w gromady i wiece Piastowskie, a Aniołowie Pańscy zstąpią pomiędzy nas — i nadejdzie chwila, gdzie jasne słonko zbawienia, zaświeci w całym majestacie Błogosławieństwa Bożego, — a my z całym narodem zaśpiewamy:

Hosanna Panu na wysokości niebios!

Nasz handel i przemysł.

Przegląd poświętny.

Jest rzeczą wiadomą i niedającą się zaprzeczyć, że byt naszego przemysłu i handlu krajowego, mianowicie od kilku lat ostatnich nie tylko się nie podnosi nie rośnie w siłę, ale widocznie z każdym dniem prawie coraz więcej się chwieje i upada.

Bilanse najpoważniejszych najstarszych i najuczciwszych firm, którym dotąd nie brakowało na materyalnych zasobach, w ostatnich latach nietylko nie wykazują odpowiednich względem wkładu kapitałów korzyści, ale widocznie wskazują, że produkcya i sprzedaż się zmniejsza. Jeżeli firma jaka stoi dziś jeszcze niezachwiana, zawdzięcza to jedynie — dawniejszym zasobom, i najskrupulatniejszemu liczeniu się z obecnemi warunkami. Natomiast przedtem popełniony nic nieznaczący błąd, dziś powtórzony, już jest zdolny zachwiać cały byt przedsiębiorstwa przemysłowca lub kupca.

Doszło niestety do tego, że gdy dawniej powodzenie zależało od większej produkcyi — lub zapasów w handlu—dzisiaj mogą się one stać przyczyną zguby. Słowem przemysł i handel nasz krajowy niemoże się dzisiaj na żadnej pewnej podstawie oprzeć, ale zmuszone są lawirować jak okręty podczas burzy morskiej, aby niewpaść na pierwszą lepszą podwodną skałę i nieroztrzaskać się.

Otóż takie wyjątkowe położenie wymaga również wyjątkowej czynności i liczenia się z tem, co jest i co dalej czynić wypada.

W tym celu, chcąc odpowiedzieć zadaniu naszego pisma, weszliśmy w stosunki, w bliższe porozumienie z reprezentantami najpoważniejszemi naszego przemysłu i handlu we Lwowie, przez co uzyskaliśmy możność zestawienia przeglądu ruchu przemysłowo-handlowego we Lwowie, do czego ruch przedświętny jak zawsze, nastręcza najwłaściwszą chwilę.

Dzięki uprzejmości i dobremu zrozumieniu obowiązku obywatelskości naszych pp. przemysłowców i kupców, ruch handlowy „przedświętny" przedstawia się jak następuje:

Wogóle zaznaczyć można, że ogólna i przeciętna konsumcya, okazała się znacznie mniejszą jak w latach poprzednich.

Również jest prawdą, że konsumenci zaopatrywali się tylko w to na święta, co było niezbędne i nie do uniknienia.

W całym ruchu handlowym zaznacza się oszczędność z konieczności i z dobrej woli. — Ta sama oględność uwydatnia się w żądaniu i dawaniu kredytu.

Te dwa ważne zwroty, dodają otuchy, że jeszcze wszystko nie jest zaprzepaszczone i ratunek jest możliwy. Tę oględną oszczędność konsumenta a liczenie się producenta i kupca rejestrujemy jako pierwszy promyk słoneczny — dobrze zrozumianej „własnej pomocy", — po smutnych doświadczeniach zawiedzionych nadziei pomocy, jaka jest w innych krajach na porządku dziennym.

Tak jest pp. przemysłowcy i kupcy; byłoby wielkim nierozsądkiem i zgubą, gdybyście się chcieli oglądać na urzędowe że tak powiemy uregulowanie stosunków przemysłowo-handlowych. — Oglądaliśmy się zanadto długo i gdzież nas wyprowadzono? — Oto stoimy dzisiaj nad otchłanią. — Ze wszech stron formują się całe hufce przeciwników, zdemoralizowanego najazdu niegodziwego bo niemoralnego oszukaństwa, które uczciwą, prawidłową pracę krajową, za jaką bądź cenę usiłuje zniszczyć.

Doszło więc wreszcie do tego, że u nas w Galicyi z braku odpowiedniej opieki nawet najuczciwiej prowadzony przemysł lub handel chcąc istnieć i wegetować, chcąc utrzymać konkurencyę, bez której byt niemożebny, pomimo że się wrodzone poczucie uczciwości wzdraga, nie jeden przemysłowiec lub kupiec zmuszony jest schodzić na manowce, — aby tylko żyć.

Dla czego?

Oto z tej prostej przyczyny, że społeczeństwo nasze w znacznej większości, z braku zastanowienia nad własnem dobrem przez wyrafinowane kłamstwo i obłudę nieuczciwych i wrogich nam szachrajów doprowadzone zostało do tego: że chce być oszukiwane dobrowolnie, a tem samem **obdzierane i trute** w wściałem słowa tego znaczeniu.

My sami czyniliśmy często ciężkie zarzuty naszym przemysłowcom i kupcom. Niestety, pisaliśmy tylko prawdę. Zarzucaliśmy im i zarzucamy brak poczucia, aby opiekować się wszelką produkcyą krajową w pierwszym rzędzie a potém dopiero, gdy ten warunek spełniony, uzupełniać się w potrzebach towarami sprowadzanymi z zagranicy.

Żądań tych nie cofamy, ale chcąc postępować sprawiedliwie zmuszeni jesteśmy wyrzec, iż takie same winy ciążą na naszem społeczeństwie na konsumentach, gdyż społeczeństwo to tak samo i to w przeważającej liczbie lekceważy, zapoznaje a nawet z ohydza wszelką produkcyę krajową. Codziennie spotykamy się z pożałowania godną głupotą, która w swym uporze i zacofaniu umysłowem, pomimo wszelkich pozorów inteligencyi wierzy tylko w to, co obce ręce wykonały lub z obczyzny sprowadzono.

Ta sama głupota powoduje się spotęgowaną wyrozumiałością i śmiechu godną grzecznością w obec obcego przemysłu i handlu. Pozwala się oszukiwać i obkradać z cyniczną bezczelnością; — ale biada przemysłowcowi lub kupcowi rodakowi, jeżeli najmniejszy błąd popełni. Wtenczas wszelkie obelgi i znieważenia zmuszony jest znieść nieszczęśliwy.

Nie dosyć jednak tego wszystkiego: bo gdy obcy przemysłowiec lub kupiec osłoniony jest opieką z góry, to nasz natomiast musi na każdym kroku walczyć z rozbójniczą konkurencyą. To nas zniewala, aby o tej konkurencyi pomówić szczegółowiej.

Ruch przedświętny dostarcza nam obfitości materyału, a gdy główne tętno tego centrum, jaki przedstawia stolica kraju, daje tyle ujemnych stron, to cóż się dziać może na prowincyi?

Wiadomo powszechnie, że przemysłowiec lub kupiec, który działa pod jawną firmą a więc uprzywilejowaną, poddany jest obowiązkom ponoszenia nietylko prawami i ustawami, ale oprócz tychże moralnie nakładanych mu ciężarów.

Obowiązki té i ciężary w Galicyi są bardzo znaczne — nie zmniejszają się, ale prawie z każdym rokiem mnożą. Przemysłowiec i kupiec nie może się od tychże uchylić, bo przedsiębiorstwo jego jest jawne, opatrzone w „firmę", a więc tem samem stoi pod kontrolą wszelkiego rodzaju stróżów wojskowych i cywilnych.

Kto tym warunkom ustawowym nie uczyni zadosyć, czeka go egzekucya i grabież. A jeżeli firmowy rodak nie czyni zadość żądaniom cywilnej filantropii i dobroczynności, na tym wyciskamy piętno: „braku patryotyzmu". Nikogo to nie obchodzi, czy ty panie przemysłowcze lub kupcze zebrałeś dzisiaj tyle, aby pokryć chociaż główne samokoszta przedsiębiorstwa — czyś zarobił, aby pokryć prywatne wydatki lub wyżywić rodzinę i służbę. To rzecz podrzędna, uboczna, nikogo nie obchodzi, byleś otworzył twą kasę i chociaż ostatniego reńskiego daj na cele publiczne, dobroczynne.

Do tego co nie ma firmy, chociażby krociami obracał, nikt nie pójdzie z żądaniem, nikt go nie zna, nikt o nim nie wie i nie stawia mu żądań.

Zapytujemy, dla czego w obec przeważnej liczby handlów izraelickich, do takowych miłosierdzie publiczne nie puka, chociaż zakłady te przemysłowe i handlowe tak samo są opatrzone firmami i tak samo świecą wystawami przemysłu i handlu?

Jeżeli więc te wszystkie ciężary i obowiązki obywatelskie ma tylko pewna część społeczeństwa naszego pokrywać, to niechże przynajmniej doznaje odpowiedniej opieki od rodaków. Tak się jednak nie dzieje, bo doszło do tego, iż się może zdawać, jakoby przemysł i handel krajowy uczciwy wyjęty został z pod wszelkich praw obrony i skazany był rozmyślnie na zupełną zagładę.

Wprawdzie mamy ustawy bardzo piękne i sprawiedliwe po części, które mają bronić uprzywilejowanego i opodatkowanego przemysłu i handlu. Ustawy te jednak rozpoczynają się i kończą — na papierze, na teoryi, na dobrych chęciach; ale o zastosowaniu w praktyce, nie ma mowy.

Kupiec nasz, który opłaca różnej nazwy podatki, który najmniejszy postęp w handlu opłacać musi w pocie czoła zapracowanym groszem i bez względu czy miał zyski lub nie — kupiec, który na każde święta rozsyłać zmuszony bogate prezenta w artykułach, jakie handel posiada (a mianowicie handle korzenne, win i trunków) kupiec, który ma podwładnych pomocników aż do stróżów i chłopaka sklepowego oczekujących świętalnych podarków, kupiec, który ma rodzinę, krewnych, a więc względem tychże obowiązki, kupiec ten nie dziw, iż gdy przez rok cały czeka na powiększony ruch handlowy, pociesza się nadzieją, iż w najgorszym razie pozatyka na Nowy Rok różne najgwałtowniejsze dziury. Jakiegoż jednak doznaje zawodu, gdy już na kilka tygodni przed świętami, pojawia się niezliczone mnóstwo obojga płci handełesów, ajentów, faktorów, obładowanych próbkami prawie tego wszystkiego, czego tylko śmiertelnik chrześcianin na święta zapotrzebować może. Ta cała czerń rozłazi się po mieście jak cuchnące pluskwy od mieszkań w piwnicach aż do strychów poddaszy, gdzie — tylko człowiek mieszka — wszędzie ich pełno, ofiarując wina, wódki, araki, cukier, kawę, rozynki, bakalie, mąkę — słowem wszystko, czego tylko gospodyni lub gospodarz domu zapotrzebować może. A wszystko to fałszowane, zabarwiane, w najlichszych gatunkach. Dalej wchodzą handełesy z próbkami towarów łokciowych, tak zwanych modnych, galanteryi, biżuteryi, kwiatów, wstążek. W co tylko składy kupieckie obfitują, to sprzedają handełesy.

Z za rogatki żółkiewskiej znoszą oni do miasta setki butelek wina, wódek i araków, któremi bez najmniejszego względu trują ludzi.

Niedosyć jednak na tej pladze cuchnącej czosnkiem i cebulą, gdyż drugi zastęp faktorów i ajentów objawia się w osobistościach, które się zaliczają do towarzystw różnych stopni inteligencyi. Nie rzadko spotkasz się z panią radczynią lub inną tego rodzaju dygnitarką, która korzystając ze stosunków i znajomości, prowadzi handelek „z uprzejmości" — kawą z Triestu, przemycaną herbatą z Radziwiłłowa, Brodów lub Wołoczysk — materyami na suknie, których próbki odbiera „z pierwszych źródeł", koronkami etc. A ileż to mamy ajentów win zagranicznych — ktoby ich tam wszystkich zli-

czył. Nie brakuje nawet roznosicieli zapalnej nafty, o której składach zapewne ani ck. policya ani świetny magistrat nic nie wie.

Cała ta nieuczciwa hałastra, staje przed każdemi świętami do boju konkurencyjnego z uczciwym handlem i przemysłem.

Widzieć ich można w każdym domu na każdej ulicy, — frymarczących od rana do późnej nocy,—tylko odnośne urzęda i odnośne władze, do których kontrola nad handlem i przemysłem należy — nic nie wiedzą i nic niesłyszą.

A przecież ta cała czerń oszustów, i wyzyskiwaczy i trucicieli, nie jest zarejestrowaną nawet w spisie kupców, niema sklepów, nieopłaca podatków i nieponosi ciężarów, jakie chociażby najbiedniejszy kupiec i przemysłowiec ponosić musi.

Tu się jednak konkurencya handlowa niekończy, jeżeli zwrócimy uwagę na Stowarzyszenie spożywcze wojskowe, które ma swe składy na cytadeli. — Stowarzyszenia jako takiego, niemyślimy naruszać, ani też niepodzamy tegoż o jakiekolwiek checi zysków i konkurencyi z kupiectwem lwowskiem. Otem mowy niema i być nie może, a jednak Stowarzyszenie to operuje z wielką szkodą dla naszego handlu. — Dla czego? — Oto ktokolwiek ma znajomego oficera lub innego wyższego stopnia wojskowego, może się o ile mu tylko na to funduszów starczy, zaopatrywać się w wina i inne trunki, jakoteż we wszystkie artykuły jakie to Stowarzyszenie spożywcze wyłącznie niby tylko dla oficerów sprowadza. Naturalnie stowarzyszenie takie, nieopłacając ani składów, ani służby handlowej, ani podatków może po niższych cenach sprzedawać, jak najsumienniejszy kupiec. — Procedura taka, oddziaływa na rozwój naszego prawidłowego handlu bardzo szkodliwie. Zapytujemy czy władze odnośne, które winny czuwać nad handlem opodatkowanym, wiedzą o tych manipulacyach lub nie?

Pójdźmy dalej — do ruiny poważnego i uczciwego handlu, zaliczyć należy bezwzględną lekkomyślność Magistratu miasta Lwowa, (jestto najskromniejsza nazwa jaką dać możemy) który tak jak w wyż wymienionych wypadkach i w tym o którym mówić będziemy, działa w pierwszym rzędzie ze szkodą na rozwój uczciwego handlu. Inaczej albowiem nie można nazwać szafowania tak zwanemi „arkuszami" — czyli konsensami na kramarstwo. — Gdy uczciwy kupiec przechodzi przez którąkolwiek ulicę na przedmieściu, włosy mu powstają ze zgrozy, gdy prawie w każdym drugim domu, spotyka się z "greizlernią" — Arkuszami temi po ośm złr. za sztukę na rok prowadzi się nader zyskowny handel. — I niekoniecznie starają się o takie koncesa tylko sami panowie „Greislery" — gdyż ci arkusze kupują od pewnych właścicieli za grube pieniądze i muszą im się dobrze opłacać. Prosimy zajrzeć do spisu „kramarzy" — a przekona się każdy, kto tam te arkusze posiada i figuruje na nich jako kramarz.

Gotów jednak ktoś pomyśleć, że taka ilość „grajslerów" zaopatruje się w towary u naszych kupców. Kto tak myśli, myli się, albowiem dla „greizlerów" są specyaliści hurtownicy na Zarwanicy, w okolicy Brygidek i po innych zaułkach. W składach tych hurtownych czego się dotkniesz, to oszustwo i trucizna. Tam grynszpan w kawie i herbacie mielonej, a anilina w trunkach to rzecz najzwyczajniejsza. Zgniłe śledzie, cuchnące sardynki, oliwa która nigdy krajów południowych nie widziała, gąbka biało-siwawa, reprezentująca cukier papryka z 50% minji, cynamon tłuczony z 60% kory drzewnej olchowej lub innej, pieprz tłuczony z 75% mączki kościanej lub oskrobków piekarskich od ciasta, ekstra specyalność cukierki zabarwione truciznami (artykułu tego nie braknie w żadnej greislerni). Oto wszystko są towary, które rzecz naturalna, po nader taniech cenach taki hurtownik „greislerom" dostarcza, którzy rozpoczynając nawet tylko z kilku lub kilkunastu reńskiemi swój proceder, wytrzymują konkurencyę w obec głupoty ludzkiej z najpierwszemi i najuczciwszemi handlami.

Obowiązki jakie spełniają komisya sanitarna i urząd targowy, są tylko smutną blagą.

Sporodyczna działalność komisyi sanitarnej ani w przybliżeniu nie odpowiada warunkom, jakich po niej ruch handlowy stolicy kraju wymaga. A rewizye i grabieże jakie raz lub dwa razy do roku odbywa, nie odnoszą żadnych skutków, bo skazywanie na karę pieniężną nie jest odpowiednie, — jak długo oszust taki i truciciel nie będzie wymieniony po imieniu i nazwisku w pismach publicznych, a wyrok za którego całość i nietykalność skazany jest odpowiedzialny, nie będzie przybity na widoku od ulicy na drzwiach prowadzących do magazynu hurtownika, sklepu lub kramu.

Procedura taka nie jest bynajmniej nową lub niebywałą. Praktykuje ona się we wszystkich krajach ucywilizowanych, gdzie magistraty czuwają nad rozwojem handlu i przemysłu. Tylko u nas w Galicyi nic o tem nie chcą wiedzieć magistraty.

W obec takich warunków, w obec takiego publicznego rozboju, gdzie ma nasz handel szukać opieki i bezpieczeństwa i czy nie jest forsowany do tego, aby się zrównał z szachrajstwem zarwanie, nie przemienił się na rozmyślnych trucicieli?

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE.

Aksmanice 17. grudnia 1880.

Szanowny Redaktorze!

W piątek zwróciła mi Redakcya „Dziennika polskiego" moją korespondencyę tyczącą się nadużyć przy wyborach w Przemyślu i w innych miejscowościach, domagającą się od Rady Nadzorczej Tow. Ubezpieczeń zapobieżenia nadal takim działaniom a to z powodu, iż dyskusya została w tym przedmiocie zamkniętą. Nieprzyjęcia mego pisma spodziewałem się, a to tem więcej, iż w biórach Agenta przemyskiego zaręczano wszystkim, że pismo moje nie ukaże się, że są o tem upewnieni.

Odbierając z poczty dzienniki w Sobotę, zdziwiłem się znalazłszy numer „Dziennika polskiego", którego nie prenumeruję, zaadresowany wyraźnie do mnie. Pomyślałem sobie: pewno tam coś na mnie napisano. Jakoż spostrzegłem, że kronikarz tygodniowy, którego ja mam za najdowcipniejszego u nas pisarza, skierował wycieczki swego dowcipu do mnie, którego już i tak zmasakrował „Czas krakowski" — ten benjaminek Dyrekcyi, biorący za inseraty, ogłoszenia, druki, więcej jak wszystkie inne dzienniki razem wzięte, którego kolega kilkoletni p. Stefan Prek odsadził wraz z całą Radą Nadzorczą od jakiegobądź wpływu na rezultata zwrotów — całą zasługę Rady Nadzorczej upatrując w westchnieniach do Sgo Florjana a rezultat, przypisując li tylko zasługom Dyrekcyi; kiedy Dyrekcya czarno na białem napisała, że fałszem jest, jakoby jakie agitacye miały miejsce przy wyborach w Przemyślu i że wszystko odbyło się bezparcyalnie.

San przytaczał na świadectwo moje milczenie, że wszystko odbyło się legalnie. Słowem wszyscy grzecznie ale stanowczo mi docinali, dla tego tylko, że jeden ktoś śmiał mnie chwalić w dość niewinny sposób i napisać swoją opinję; a trzeba przyznać dość uzasadnioną, kiedy mi tylko „Dziennik polski" odmówił obrony prawdy, przyjąwszy poprzednio wszystkie przeciwko mnie zarzuty od przeciwników. Kronikarz widząc tę moją bezbronność a napisawszy przed tygodniem, że: Galicya szuka Marszałka malowanego w tece będącego, postawił moją kandydaturę na Rurach jako zbawcę Asekuracyi i wszystkich innych rzeczy, którym nic nie zagrażało. A dalej, karząc inne pismo za błędy zecera, na które to błędy nie jednokrotnie w kronikach sam narzekał, i mówi, te pismo ja protegują — zarzuca mi., że jako poseł i Dżentlman niepowinienem był występować w obronie Redaktora poczciwego tego pisma.

Jako nie biegłemu w angielszczyźnie daruje mi kronikarz, że mogę niewiedzieć co powinien robić Dżentlman; — ale wiem, co powinien spełniać człowiek uczciwy i co obowiązuje szlachcica; — i muszę skonstatować, że stając w obronie słabszego za prawdę prześladowanego, dopełniłem tylko obowiązku honoru. Nie wiem też, o ile kronikarz dopełnił obowiązku angielskiego Dżentlmana, wymierzając mi cios tak zwany: „coup de grace" mnie, przez wszystkich attakowanemu i potępianemu, a któremu Dziennik polski odmówił obrony. Za to korespondent w tym samym numerze Dziennika po nad kroniką w artykule Tow. wzajemnych Ubezpieczeń, a który zapewnić mogę, zna się na angielszczyźnie, dał lekcyę kronikarzowi co to jest prawdziwy Dżentlman.

Nie będąc moim osobistym przyjacielem, nie mając względem mnie żadnych obowiązków, wyrosłszy o całe serce polskie i o całą głowę po nad mierności galicyjskie, widząc mnie obskoczonym przez licznych nieprzyjaciół, nieproszony bez mojej wiadomości, staje w mojej obronie i stylem swoim jędrnym, treściwym, z tą odwagą cywilną, która jest Dżentlmanowi właściwą wypowiada prawdę przeciwnikom; a wypowiada i tę prawdę tak jak przyznaję się ze skruchą ja sam, waham się często wypowiedzieć. — Wykazuje całą intrygę i nie waha się wypowiadać tej prawdy stronnictwu naszemu do tego czasu, bo opierającemu się na mnóstwie małych główek bez serc polskich, ale które wszystkie razem wzięte pigmejami są w obec serca korespondenta, kochającego Polskę i głowy, którą Pan Bóg obdarzył tylu zdolnościami.

Po odezwaniu się tej potęgi umysłowej, która mi zawsze imponowała, a którą kronikarz nie pragnący „kloca na Marszałka", ani „malowanego" powinienby popierać. Ja w osobistej sprawie mógłbym milczeć, zostałem bowiem przez wysokiego mego protektora pomszczony; a jeżeli trwam w zamiarze napisania jeszcze kilku słów, to dla tego aby skonstatować, iż Dyrekcya używa całego wpływu swego na rezultat wyborów do Rady Nadzorczej, a to dla tego, że w ostatnich czasach większość Rady nadzorczej była postępową, i że bądź co bądź trzeba Dyrekcyi zamienić tę większość chwilową na mniejszość. Muszę wystąpić domagając się od Rady nadzorczej, aby jeśli to jest w jej mocy, przeszkodziła dalszej pressyi przy wyborach; i dla tego Szanowny Redaktorze przesyłam Ci korespondencyę, której umieszczenia odmówił mi „Dziennik polski." Prosząc Cię o gościnność w łamach „Strażnicy polskiej".

Zawiadomiono mnie z sąsiedztwa, iż Dziennik polski umieścił korespondencyę z Przemyskiego, tyczącą się wyborów do Rady nadzorczej Tow. Ubezp., że warta bym ją przeczytał i że mają ten numer do mojej dyspozycyi. Przekonany byłem, że to ktoś z licznych moich nieprzyjaciół, niemogących pojąć, aby w Galicyi mógł być kto niezawisłym i nienależeć do żadnej partyi, a głosować wszędzie i zawsze stosownie do własnego przekonania, gdy sprawa jest dla kraju pożyteczna lub szkodliwa, bez żadnych osobistych uprzedzeń.

Można sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wyczytałem prawdziwy i rzetelny opis przebiegu wyborów: — a zatem, że ktoś śmiał pisać prawdę nie zależnie od różnych partyi popularnych. Chociaż często doznaję uznania pojedynczych ludzi za moją odwagę cywilną, mówienia prawdy, ale to zawsze w cichości, nie zwykłem jednak doznawać obrony publicznej bo zwolennicy moi należąc do mniejszości, obawiają się otwarcie wystąpić przeciw adoracyi wzajemnej. Wyznaję, że zaciekawił mnie mój nieznany obrońca. Przebiegłem w myśli wszystkich znajomych ale napróżno — zrobiłem uwagę sąsiadom, że jak-

kolwiek panowie wiecie, szczegóły są prawdziwe, ale zanadto mnie chwali przyznając mi wyłącznie zasługę zwrotu 33 zł. kiedy w komisyi rachunkowej chodziło tylko oto czy 30 zwrócić a 3 obrócić na fundusz emerytalny, czy całe 33 oddać członkom jako niezaprzeczoną ich własność. Za moją inicyatywą po długiej i upornej dyskusyi utrzymał się cały zwrot 33 zł., w czem mi większość dopomogła. Ale: zobaczycie panowie dodałem, jaką to piękną polemikę wywoła w dziennikach ta skromna korespondencya i odwaga autora wypowiedzenia otwarcie prawdy i swego zdania o ludziach.

Nie omyliłem się, bo już „San" z 13. rozpoczął kampanią przeciw korespondentowi Dziennika, iż brak mu wszelkiej podstawy. A na dowód, że wszystko legalnie się odbyło przytacza, iż ja nie protestowałem. Artykuł ten wstępny wyraźnie napisany za inicyatywą Agenta Tow. Ubezp. w Przemyślu. Wolno mi było dotąd milczeć i nie podnosić na razie protestu dla tego właśnie, że chodziło o mnie, aby nie myślano, że czuję się obrażonym, że mnie nie wybrano i dla tego nie wniosłem protestu; — bo czekałem, aby mój następca był przez Radę nadzorczą potwierdzony i legalnie zajął stanowisko na lat 6 w Radzie — a dopiero chciałem zwrócić uwagę Rady nadzorczej na nadużycia i i nielegalności odbywającę się przy wyborach. Że przy użyciu środków praktykowanych przez Dyrekcyę, może ona po upływie kadencyi każdego najniewinniejszego oponenta wyrzucić. Miałem to zrobić zapomocą wniosku i memorandum wystósowanego wprost do Rady nadzorczej bez polemiki dziennikarskiej.

Ponieważ jednak „San" jako dowód stawia że agitacyi nie było, i że tak samo nie było, kyndydata Dyrekcyi, że wszystko odbyło się legalnie i powołuje się na moje milczenie, nie wolno mi dalej milczeć, bo brał bym winę na siebie nieprawidłowego postępowania przy wyborach i usprawiedliwiał postępowanie organu Dyrekcyi, to jest pana Agenta i przyczyniłbym się do tego, aby i przy innych wyborach podobne nadużycia mogły mieć miejsce.

Otóż oświadczam, iż kandydatura obecnego Radcy, była postawiona przez Dyrekcyę niebezpośrednio, ale w Przemyślu pośrednio przez agenta, a na polowaniu u hr. D. podsunięto przez jednego z panów krakowskich i uzyskano szlachty polującej solidarne poparcie. O téj, a nie innej kandydaturze, mającej być przez Dyrekcyę wysuniętą — tak byłem przekonany, iż w czerwcu żegnając się z kolegami; powiedziałem: nie prędko się zobaczymy i już nie tutaj. A kiedy mnie pytali dla czego, to powiedziałem, że przyjedzie na moje miejsce Dembowski. — Że to był kandydat Dyrekcyi, to dowodzi, iż agent, kuzynek Dyrekcyi p. Ritterschild od kilkunastu dni wszelkich dokładał starań, aby tej kandydaturze zapewnić wybór. Wcześnie wszystkim, na których mógł liczyć, powyrabiał prawo głosowania. W dzień wyboru od samego początku był w sali, jednał zwolenników nowemu radcy, ratował plenipotencye, a przeciwników nielicznych chciał nawracać, i piorunował wzrokiem tych, którzy mu opór stawiali. Powiadali mi, że ci potulnie się tłumaczyli, z obawy, aby im weksłów nie zechciał nieprolongować w Towarzystwie zaliczkowem rolnem. Że cały ten wybór był wcześnie obmyślony, to dowodzi, że tak lista mającemu pierwotnie przewodniczyć p. Przedrzymirskiemu, oraz odbitka mnie przesłana, mieściła samych tylko właścicieli, a dzierżawców tylko pp. Bogdanowskiego, Ebenbergera, Leilb Silbermana i Skórskiego. Panu Przedrzymirskiemu na wzmiankę jego, iż prosi o listę, bo chciałby, aby wybory były jak najliczniejsze do tak poważnej instytucyi, odpowiedziano, że tego nie potrzebuje robić, bo postarano się, aby każdy z uprawnionych był o wyborze zawiadomiony.

Zasiadając w Radzie nadzorczej przez lat 6. przez cały ten czas należałem do komisyi rachunkowej, która nawiasowo powiedziawszy, ma największe zajęcie i bez brania w niej udziału, żaden człowiek nie może mieć jasnego pojęcia o działaniach Towarzystwa. Nie miałem czasu poznać się z zasadami wyborów i dotąd dokładnie nie mogę sobie wytłumaczyć §. 84. który powiada, że prawo głosowania mają ci członkowie, co są ubezpieczeni na wsi do wysokości 5000 złr. a w mieście do 2000 złr. Widziałem niejednokrotnie w Krakowie głosujących dzierżawców, delegatów, a nawet urzędników i ubezpieczonych na życie. — Tu jednak widząc na liście tylko czterech dzierżawców zamieszczonych a innych opuszczonych, nikogo z zabezpieczonych na życie — myślałem, że prawo na prowincyi ściślej jest przestrzegane i że ci 4rej przez omyłkę zostali zamieszczeni. Co mnie także bardzo dziwiło, że lista członków uprawnionych do głosu, nie była wyłożona w lokalnościach Rady powiatowej, ani pomiędzy ogłoszeniami na dole; — słowem, że do ostatniej chwili była sekretną, zdaje się dla tego, aby nikt nie mógł się połapać i reklamować, dla czego został pominięty. Dopiero o tej sekretnej liście dowiedzieliśmy się w chwili jej czytania przy głosowaniu i usłyszeliśmy, że oprócz tych dzierżawców było wielu innych, t. j. wszyscy zwolennicy kandydatury pana D., a mianowicie pp. Adamski, Korybski, Dąbrowski, Krejczy, Kraft, Gutkowski, Kamiński (który się sprzeniewierzył) i wielu innych, których zapamiętać nie mogłem, raz tylko tę listę słysząc. i to tylko dopóki nie dopełniłem mego obowiązku głosowania. — Pan agent postarał się o upoważnienie wszystkich swoich zwolenników, za to żaden nie był uwzględnionym z tych, których p. agent posądzał o sprzyjanie przeciwnej stronie, słusznie czy niesłusznie, jak pp. Władysław Kraiński, Wasilkowski, Przedrzymirski Tadeusz, Dworski, Dębiński, Nowosielecki — (ten ostatni delegat), a wszyscy te same mający prawa do głosu, jak zwolennicy p. Agenta. — Z miasta Przemyśla w pierwotnych listach zamieszczeni tylko byli: rafinerya nafty i p Schiffer, w sekretnej liście pp. dr. Baumfeld, Tarnowski, Frankowski, Mochnacki i wielu innych, którzy żadnej własności nieruchomej nie mają, a wszyscy z plenipotencyami.

„San" pisze, że wybory te były dokonane znaczną większością obywateli okręgu, którzy się licznie zjechali. Wprawdzie z Jarosławskiego byli wszyscy, co bywają na polowaniu, wyjąwszy panów, którzy się nie fatygowali. — Ale i przeciwnik miał jednak 8 plenipotencyj z tego powiatu, naturalnie od ludzi nie bywających na polowaniach u panów, i będących niezależnymi. Z Mościskiego było dwóch, ze znaczną liczbą plenipotencyi — przeciwników kandydatury urzędowej Z Janowskiego widziałem tylko jednego — reszta była po największej części z Przemyśla i okolic — przyjaciele i zwolennicy pana agenta. Przyznaję, że p. D. mógł się utrzymac, ma bowiem wielu zwolenników, ale niewielką ilością głosów, mógł też i upaść, jeżeli przeciwnik pomimo tylu zabiegów, miał 17 głosów, a przeszło 30 plenipotencyj nieużytych i tylu jego zwolenników nie było dopuszczonych do głosu.

Nie o wybory tu jednak przemyskie chodzi, ale chodzi o to, aby w innych miejscowościach te agitacye się nie powtarzały i większość postępowa w Radzie nadzorczej nie była przez Dyrekcyę obaloną. Chodzi o to, aby §. 84. tak był określony, iżby nikt samowolnie nie mogł być od głosu odsądzony, i ażeby tym sposobem kontrola Dyrekcyi, to jest Rada nadzorcza dziś energiczna i z znaczniejszych ludzi złożona, nie mogła być zamienioną na Strohmanów. Chodzi o to, aby wybory do Towarzystwa, ze wszechmiar wysoko stojącego, odbywały się z godnością i legalnie. Zdaniem moim bowiem, tylko takie Towarzystwo może być dobrem, które ma Radę nadzorczą — niemalowaną. Że wpływ Dyrekcyi i urzędników na wybór Rady nadzorczej jest niewłaściwy, to mi każdy przyzna.

Jeżeli zważymy, że nawet tacy członkowie Rady Nadzorczej jak p. Szumańczewski, znany z licznych zasług w pracach poważnych, zawsze i wszędzie wybierany tam, gdzie potrzeba pracy, umiejętności, i uczciwości, który od założenia Towarzystwa zawsze zasiadał w Radzie nadzorczej, za to że śmiał głosować na Dyrektora — nie po myśli innych dyrektorów, miał przy wyborach w Krakowie tylko jeden głos, jeżeli p. Fr. Jasiński wybierany z walnego zebrania był zadekretowany, iż nie będzie wybrany za takie samo przewinienie i tłumaczono mu, że za parę lat będzie wybrany w Kołomyi, jak kadencya p. Ludomira Cieńskiego się skończy, czyli, pocieszano go obiecanką skóry na żywym niedźwiedziu, gdyż p Cieński dopiero dwa lata temu został wybrany. P. Jasiński od początku w Radzie zasiadał i ma zaufanie swoich współobywateli. Gdyby nie energiczne wdanie się szanown. prezesa i zagrożenie kategoryczne, że na Walnem zebraniu podniesie publicznie niewłaściwość agitacyi urzędników przy wyborze swoich kontrolerów to jest Rady nadzorczej, jeżeli tylko spostrzeże najmniejszą agitacyę byłby p. Jasiński upadł niechybnie. Za to zapewnić mogę Szanownego prezesa, iż przy wyborach na prezesa ukaranym zostanie i wybranym nie będzie.

Subordynacya jest w Towarzystwie wielką; patrzeliśmy we trzech na całe to zajście i widzieliśmy, jak szepnięto kilka słów sekretarzowi Ten wyszedł i o dziwo, urzędników w sali pojawiło się bardzo mało a p. Jasiński prawie jednogłośnie wybranym został.

Niech mi wolno będzie na tym miejscu wystosować do Rady nadzorczej następujące żądania:

1. Aby §. 84. był jasno sformułowany i wyliczono wyraźnie wszelkie kategorye członków, którzy mogą głosować i w jakich okolicznościach.

2. Aby członek tylko rzeczywisty miał prawo głosowac i mieć 2 plenipotencye.

3. Aby lista członków była skrupulatnie sporządzoną przesłaną przewodniczącemu przynajmniej w 4rech egzemplarzach i umieszczoną w miejscu widocznym w lokalnościach odnośnych Rad powiatowych na 2 tygodnie przed terminem głosowania — celem, aby każdy przypadkowo pominięty, mógł reklamować o swoje prawa i jawnem było kto jest uprawniony.

4. Aby agent Towarzystwa w sali wyborów się nieznajdował i niekompromitował Dyrekcyę, gdy ta zechce, aby wybrano członków po jej myśli.

5. Aby głosowanie odbywało się zawsze za pomocą kartek jako najmniej krępujące wolną wolę człowieka.

Dodam tu jeszcze kilka słów dla poparcia twierdzenia nieznanego mi autora pierwszej korespondencyi do „Dziennika polskiego", a mianowicie: że kamieniem probierczym działania nowego Radcy będą zwroty i ich wysokość. — Zupełną w tem ma racyę korespondent, bo tam gdzie prosta większość decyduje, jeden głos wiele stanowi — Muszę także zauważyć, iż „San" się myli twierdząc, że Rada Nadzorcza może tylko mieć wpływ na oszczędność. To najmniejsza jej atrybucya i najrzadziej używa jej — ale wpływ tejże jest ustawodawczy; ona decyduje o kontraktach z innemi towarzystwami, debatuje nad spostrzeżeniami jaki robi nad działaniami Towarzystw, uchwala jak ma być kapitał rezerwowy i bieżący lokowany. Tak jak Dyrekcya jest w każdej instytucyi organem czynu, tak Rada Nadzorca może i powinna wywierać stanowczy wpływ na sprawy. Wciągu mojej kadencyi mogłem spostrzedz wiele kwestyi przez Członków Rady podniesionych i przeprowadzonych z korzyścią dla towarzystwa, pomimo możliwego nawet oporu Dyrekcyi. Niezawodnie kilkanaście centów corocznego zwrotu jest zasługą Rady Nadzorczej, które raz na zawsze niewzruszenie zostaną przy zwyczajnych okolicznościach, naturalnie, jeżeli Rada Nadzorca nie dozwoli budowania gmachu we Lwowie, jeżeli nie założy Towarzystwa kontrasekuracyi wielu przedmiotów, jeżeli nie złoży funduszu emerytalnego z funduszów bieżących, jeżeli funduszu rezerwowego niebędzie umieszczac w listach zastaw-

nych wątpliwych banków, jeżeli nareszcie niebędzie nadzwyczajnych katastrof.

W szczęśliwych okolicznościach w jakich się znajdujemy twierdzę, że premia stanowczo jest za wysoką i dla tego zwroty muszą być każdorocznie mniejsze lub większe. Niezaprzeczenie wysokość szkód jest podstawą, ale w tem Rady Nadzorczej jest głównie zasługa, a nie Dyrekcyi i każdy członek tej rady obeznany z czynnościami, silnych przekonań, niegoniący za popularnością, może bardzo się przyczynić do podniesienia wysokości zwrotów.

Dziwić się trzeba, że autor artykułu w „Sanie“, który tak dobrze zna sprawy towarzystwa, twierdzi, że to szczęśliwy traf podczas mojej kadencyi sprowadził rok tak szczęśliwy, że aż 33% miał zwrotu. Kiedy tymczasem wiadomo, że operacye roku przeszłego przyniosły zysku nie 33 ale 38 i ułamek i że 33 dlatego zwrócono tylko członkom, że korzystając z dobrego roku, blisko 2 procent dano urzędnikom a resztą pokryto szkody po Dyrektorze Komarze, po Kalicie, oraz inne tym podobne.

A. Krukowiecki.

WIĄZANKA LWOWSKA.

Któryż z Lwowian nie ma jeszcze w żywej pamięci tego rycerskiego popisu, jaki przed dwoma laty odbyli pan kapral Flinta i jego towarzysze pod bezpośrednią dyrekcyą takiego fechtmistrza, jakim był p. Kossa i pośredni ale zawsze główny dyrygent p. Bartmański. Za tę niecodzienną, ale prawdziwie odświętną produkcyę bohaterskiego zapału, awansował p. Kossa do Wiednia, gdzie jak słychać, miał się już dotąd stać nadzwyczaj popularnym, a p. Bartmański na delegata do Rady państwa. Szczególniej pan inżynier Gomoliński i przyzwoita paczka innych obywateli lwowskich, nie zapomną tych turniejów pieszych.

Otóż obecnie przekonać się możemy, bo nawet już po dwóch latach, jak ta nauka bohaterstwa policyjnego gruntownie była udzielaną i w jaki godny sposób zastępuje p. Kossę zapewne nie kto inny, jak p. kapral legii policyjnej Flinta. Legia ta nie bawiąc się w słowne szermierki, gdy jej się pora nadarzy, rozpromienia ją szlachetne męztwo, ostrzy swe miecze na łbach konstytucyjnych śmiertelników. A że ręce tych bohaterów są silne i wprawne, do wodzi tego stróż z ulicy Zimorowicza, który nie czekając nawet na kutię i na podarki noworoczne, przesiedlił się na cmentarz Łyczakowski. Drugi znowu czeladnik szewski Filipowski już od sześciu tygodni pomnaża praktykę hirurgiczną p. dr. Szeparowicza w szpitalu głównym. Oprócz tych dwóch, naliczyć można cały szereg reprezentantów konstytucyjnego mięsa ludzkiego, na których żołnierze policyjni chronią swe miecze od zardzewienia.

Naturalnie, że tam trochę krwi która raz po raz bruk lwowski zanieczyści, nie może iść na wagę z oszczędnością świetnego Magistratu i Rady. Krwi dostanie całą konewkę za kilka krajcarów w szlachtuzie miejskim — a za to nawet jednego konstytucyjno-autonomicznego „Polizeja“ nie kupisz. „Niechaj bude jak buwało“. A i to przecież coś znaczy dla honoru miasta, które posiada gabinet starożytności przy ulicy Ossolińskiego, oraz „Pełtew“ tak samo pachnącą jak za dawnych czasów, że gdy jaki ciekawy „Reisender“ przyjedzie do Lwowa, pozna nie malowanych ale żywo zakonserwowanych „polizeiów“, rychtyk takich samych jak za czasów pp. Kriegów i innych ś. p. znakomitych mężów.

Mówiąc o nauce, bywa i tak, że takowa i w innych wypadkach cierpi taki sam wstręt do lasu jak np. Moskal w 63. r., bo się zdarzają i rodacy nasi, którzy przedstawiają wielką powagę, przybrawszy się w kołpak z czaplem piórem, kontusz, pas lity i karabelę — a jednak niepoczuwają się do żadnego a żadnego pokrewieństwa z tymi, co się tak ongi rozkoszowali w lasach. Do takich personatów odrębnego konserwatyzmu, zaliczyć należy i p. Oktawa Pietruskiego kawalera orderów, Verwaltungsratha kolejowego, członka Wydziału krajowego, zastępcę Marszałka krajowego i pośrednika pomiędzy Galicyą a Węgrami, w czasie odkrycia pomnika Bema w Marosz-Vasarhely. Otóż i nie dziw, że p. Pietruski stoi pod pewnemi względami twardo przy konserwatyzmie przedkonstytucyjnym; — a wypada czołem uderzyć przed taką cywilną odwagą, która nawet przeciw Monarsze wnosi protest. Wiadomo, że Cesarz podczas bytności swej we Lwowie podpisywał się ku wiecznej pamięci: **„Franciszek Józef“**. Dla całego kraju był to „Wink von Oben“ i pozostał zrozumiały z wyjątkiem p. Pietruskiego i jego politycznych przyjaciół. Przy pierwszej sposobności postanowił on zaprotestować nietylko w myśli i po duchu ale „czarnem na białem“.

Dobra okazya nie kazała długo na siebie czekać w pewnym szczepie słowiańskim. Pan Bóg poruszył ziemię i wstrząsł nią jak gruszką, a pod taką siłą zaczęły się chałupy i kominy tak rozbijać jak ulęgałki spadające.

I strach ztąd był daleko większy jak obecny w kuratoryi Fundacyi śp. hr. Skarbka *).

Otóż pobratymcza miłość słowiańska nakazała i Galicyanom przyjść w pomoc Kroatom w Zagrzebiu. A chociaż w kasie Wydziałowej huda fara, bo jak vox populi twierdzi pp. Pietruski i hr. Badeni na przemian w własnej osobie zwykli tam dzwonią — to wobec niezawodnej pożyczki 600,000 złr. z „Länderbanku“ gdyby nawet w kasie był przednowek, nic łatwiejszego, jak zanieść do przyjaciela politycznego p. Edwarda Simona jako depozyt i sprzedać takowy z prawem odkupu. Samo przez się, zapłaciwszy różnicę kursu i procenta. Dobry gospodarz zawsze umie sobie poradzić w biedzie. Ale co tam, dosyć, że tysiąc papierków równiuteńkich czyściuteńkich, znalazło się. Papierków jednak niemożna samych posłać, ale dołączyć do nich coś pisanego — co w słowniku pana Pietruskiego nazywa się „Begleitschreiben“. Które znowu w wyobraźni p. zastępcy Exelencyi Marszałka niemogło być inaczej i odpowiednio godnie uwidocznione jak: in unserer lieben alten Amtssprache. Wprawdzie wydział krajowy jak historia powiada, już raz został skonfudowany przez nieokrzesanych Madiarów, ale konserwatysta „von solchem Schlage“ jak p. Pietruski, nieliczy się z takiemi głosami. A więc: „bedachtgethan“, — przemówił do Kroatów — „in der Amtssprache“, którą uzna za dźwięczniejszą i wdzięczniejszą, als das galizische Idiom.

Trafił jednak na innego rodzaju twardego konserwatystę i to tak, jak siekierą w kamień. Konserwatystą kroackim nie jest kto inny jak sam Ban Kroacyi Pejacewics i c. k Feldmarszałek w własnej osobie, który dziękując za dar serca pobratymczego — użył do tego języka kroackiego.

Zawsze jednak należy się p. Oktawowi Pietruskiemu — uznanie, za nieugiętość charakteru, a gdyby to było w naszej mocy, tobyśmy się natychmiast zajęli zbieraniem podpisów na adres, aby p. Pietruski mógł zostać jaknajprędzej Grafem galicyjskim.

Opowiadał mi jeden z przyjaciół mieszkający w sąsiedztwie kasy oszczędności lwowskiej, że tam co tylko odbyła się niemała borba, a także pewnej partyi konserwatywnej podług modły z czasów przedkrachowych, liberalno-szlachecko-koszerno-postępowy. — Pierwszą stronę reprezentowała Dyrekcya kasy oszczędności, a drugą? — a któżby inny jak nie pp. Verwaltungsraci, którzy w poczuciu patryotyczno obywatelskim, poświęcają się, pełniąc sumienne obowiązki tak samo w Banku hipotecznym jako też w kasie oszczędności. — Że poświęcenie jest konieczne dowodzi najlepiej fakt, że „warcholstwo lwowskie“ musi być zawsze w ryzach i krótko trzymane. — Oto w chwili, gdy n. p. Bank hipoteczny, bank galicyjski dla kredytu p. Simona prezesa izby handlowej i posła do sejmu — bank zastawniczy w teatrze Kruszewski et Gamrat wraz ze spółką herbową szlachecką — Bank włościański, wszelkiemi siłami usiłują iść zgodnie i ręka w rękę, Dyrekcyi zachciało się obniżyć od wypożyczanych pieniędzy procenta z 6 na 5.

No proszę! — czy to nie jest objaw spotęgowanego i roszuchwalonego warcholstwa, które śmie bez radzenia się ze wspólnymi verwaltungsrathami, tworzyć precedens i popierać ulicę chciwą grosza. — Sprawa ta nie jest podobno jeszcze ukończoną ale to pewne, że Dyrekcya otrzyma votum niezaufania.

A tym razem sztuczka nie pójdzie tak gładko Dyrekcyi jak Wydziałowi krajowemu w sejmie.

Gdy dobrego nigdy nie jest za wiele, to powracamy i dzisiaj do Fundacyi skarbkowskiej, a łącznie do sprawy teatralnej, gdyż w pierwszym i drugim wypadku są widoczne wpływy opieki takiej samej jaka się w naszych bankach objawia. Pod tym wpływem zebrała się ankieta, która przeważnie oświadczyła się za dalszem dyrektorstwem p. Jana Dobrzańskiego — Z ankiety tej wyrodził się nowoczesny Herodot czy Kromer, który ku wiecznej pamięci drukuje w „Gazecie narodowej“ kronikę dziejową Teatru skarbkowskiego od ery Milaszewskiego, aż do najnowszych czasów. Kto się poświęcił na tego nowego dziejopisa jeszcze do tej chwili niewiadomo. — I tu mamy niezbity dowód jaką siłę i władzę posiada poczucie solidarności.

Lepiej poinformowani twierdzą, że p. Dyrektora fundacyi Skarbkowskiej Köwesza oczekują w dzień Nowego roku różne owacye publicznej wdzięczności i uznania za dotychczasową działalność i tak: Kasyno mieszczańskie z p. Edwardem Simonem na czele, ma p. Köweszowi wręczyć dyplom honorowy na nadzwyczajnie honorowego członka kasyna. Zaraz potem wejdzie Dyrekcya Zakładu sierot i starców w Drohowyżu z p. Juliuszem Starklem i złoży homagium na wierność i solidarność. W wielkiej paradzie zszeregowanej dwójkami, przestąpi progi poczet dzierżawców, arendarzy, kupców drzewa, liwerantów dla Zakładu w Drohowyżu, — a wszyscy w atłasowych jupicach, niosąc jak zwykle noworoczne dary, tym razem podwójne — na tacy srebrnej, nakryte jarmałkami, aby dar nie doznał uroku.

Na zakończenie rozmaici teraźniejsi i byli funkcyonaryusze fundacyi, odśpiewają na głosy kantatę, której tylko tekst udało się dostać naszemu reporterowi. — Oto słowa kantaty:

„Ja kradłem,“
„Ty kradłeś,“
„On kradł.“ —
„My kradliśmy,“
„Wy dradliście,“
„Oni kradli.“ —

Przy tej sposobności nie zawadzi donieść, że nadworny poeta naszej redakcyi, pracuje obecnie nad librettem do nowej operetki pod tytułem:

„Dzwony fundacyjne“.

Operetka ta w 3 aktach wielce ucieszna z muzyką nieznanego dotąd kompozytora, odznacza się o ile nam tekst znany, wielką precyzyę dziejową. Pewna część odgrywa się we Lwowie w gmachu teatralnym. Druga w Drohowyżu i dobrach fundacyjnych. Trzecia przed kratkami sądów przysięgłych przy ulicy Halickiej. Zakończa ten utwór apoteoza pysznego układu.

---

*) Gdyby nam przyszło porównać strach kroacki a fundacyjno-dyrektorsko kuratorski, na który się składają równo narodowości, nawet bliskie Kroacyi jak p. Köwesz, byłaby bardzo wdzięczna praca dla heraldyków, aby chcieli poszukać pokrewieństwa rodowego, pomiędzy kuratoryą a tym kroatem, którego ś. p. pan Schiller, każe się pytać mnichowi: „Kroat! — wo hast du das Halsbandgestohlen?“

Przekonani jesteśmy, że jak tylko to dzieło ceniczne zostanie ukończone, p. Dobrzański nie omieszka jaknajprędzej przedstawić „Dzwonów fundacyjnych“.

Pisząc „Wiązankę lwowską“ czujemy to, że się wkradamy w atrybucye dożywotniego kronikarza „Dziennika polskiego“. Nie mamy jednak przez to na myśli, abyśmy nasze nieudolne pióro chcieli stawiać na równi z taką rzeczywiście znakomitością, jaką p. Jan Lam przedstawia, ale spełniamy tylko uczynek Samarytanina. Wielce szanowny kronikarz znajduje się, jak powszechnie wiadomo, już od dłuższego czasu w chorobliwym stanie, i poddawał się nieustającej kuracyi, zażywając eliksiru żywota podług recepty jednego ze sławnych mędrców Wschodu, Osmana Baszy; — i przyznać trzeba, że eliksir ten czasami, dobrze oddziaływał na jego organa zmysłowe.

Ale cóż z tego, kiedy to u nas, co stworzenie Boskie to — doktor, a więc niejeden taki circumfatygant nuż radzić kronikarzowi i opowiadać o cudownych przymiotach wyskoku alkoholo-winnego z tak zwaną „kropelką“. „Kropelka“ jako taka jest niby niewinna, szczególniej, jeżeli ktoś nie wierzy w homeopatyę. W tym wypadku jednak można się na osobie p. J. Lama przekonać, iż „kropelka“ szczególniej jako wyciąg miętowy jest nader silnym działaczem. Być może, że w innych zboczeniach fizyczno-moralnych, a nie takich jakim p. Lam podlega, posiada ona zbawienne skutki. Tu jednak, w obec kronikarza dożywotniego, siła „kropelki“ działa wprost przeciwnie — słowem p. Lam szwankuje coraz więcej na słuchu i wzroku.

Dawniej bywało chociaż spał jak zabity, a wszystko słyszał i widział. A dziś — Boże się zmiłuj nad nim! Mieszka w najbliższym sąsiedztwie z Wydziałem krajowym, a dotąd nic nie wie o propinacyi w Winnikach. A przecież, jak twierdzą lepiej poinformowani, mógłby być użyty jako specyalista za rzeczoznawcę. Tak samo Zakład sierót i starców w Drohowyżu, Fundacya Skarbkowska, Kuratorya, 35000 złr. recte 37000, p. kurator, hr. Badeni, Wereszczyński, Köwesz, Kobyliński, jakby dla niego nie istnieli. Być może, że na taką tępość słuchu i wzroku wpływa niezwykle mokra pora roku przed Nowym Rokiem, a poprzednio uroczystość Gwiazdkowa. Być to wszystko może, chociaż badania stylu jakie na hr. A. Krukowieckim praktykuje — dają dowód wysileń w pracy.

Przyznajemy, że styl hr. K. nie wytrzymałby może konkurencji, chociażby tylko z stylem p. profesora Małeckiego; nie można mu jednak odmówić oryginalnej rąbności, której dał dowód już przed 18 laty przy obronie Glanowa. Już wtenczas stylistyka jego była potoczysta i przekonywająca, a nadzwyczaj harmonijna dla polskiego ucha. Takim samym stylem posiłkuje się wszędzie, gdzie tylko wypada mówić lub pisać. Pan Lam dziwi się, że hr. Krukowiecki staje w obronie „pewnego organu“, a jeszcze się dziwi więcej, że jest nawet współpracownikiem tegoż. No tak jest p. Janie Lamie, — hrabia Krukowiecki stosuje się we wszystkiem do charakteru swej stylistyki. Że pan dajesz patent Maffijczykom na niewinność, to i to nikogo już teraz nie dziwi, jeżeli sobie przypomni zdanie byłego pańskiego politycznego przyjaciela Nasenstiebera a tak samo przyjaciela pewnego „Chochlika“, z których pierwszy orzekł, że kto z kronikarzem dożywotnim „Dziennika polskiego“ dotrzyma towarzystwa przez 24 godzin przy „Eliksirze Osmana“ lub „kropelki“, ten gdyby był nawet czarny jak noc, uznasz go za pokrytego anielską białością ciała i duszy.

W ogóle, ostatnia kronika dowodzi, że „kropelka“ nie szczególnie oddziaływa na władze pamięci umysłu p. Jana Lama.

Jako naszemu dawniejszemu chociaż tylko sporadycznemu współpracownikowi życzymy przy Nowym Roku, aby już lepiej powrócił do „Eliksiru Osmana“ aniżeli tępiał pod wpływem „kropelki“.

Ostatni kwiatek do „Wiązanki lwowskiej“.

Zakończywszy naszą „Wiązankę“ — nie spodziewaliśmy się, że nam wypadnie jeszcze jeden kwiatek dołączyć:

„Jańcio“, — recte p. Jan Dobrzański przestaje być strasznym i niebezpiecznym nikt go się już nieboi — bo nawet książe kurator wziął na odwagę — głosował z „lakiernikiem“ i „rymarzem“ w zgodzie za p. Miłaszewskim — Jańcio już niebędzie dyrektorem teatru! — Oto najświeższa wiadomość, która w połowie wprowadzi znowu równowagę w rozgorączkowanem społeczeństwie lwowskiem. — Dajcie mu jeszcze „Marszałka“ — a potem przyjm go Panie już do chwały swojej — My zawsze jesteśmy zwolennikami przysłowi staropolskich, otóż i dziś sprawdziło się: „że kto dołki pod kim kopie, sam wnie wpada“. — P. J. Dobrzański powinien na zakończenie starego roku przedstawić dla nauki swych politycznych przyjaciół komedję: — Trafiła kosa na kamień“.

Niezwykliśmy się śmiać z cudzej biedy, bo: „co dziś komu to nam jutro“ — ale aby taki stary ćwik jak p. Jan Dobrzański, tak się wykoleił i z taką ultra prozą uwydatnił swoją rozpacz — gniew, — tego się nikt niespodziewał; bo nawet jego polityczni przyjaciele twierdzą, iż się raptem zamienił w panią Maciejową, która siadnie na placu krakowskim i tam czemś handluje.

Wyrządzilibyśmy krzywdę naszym czytelnikom, niepodawszy wycinka stylistyki, nadpełtwiańskiej matki dziennikarskiej, jaką jest „Gazeta narodowa“. — Słuchajcież.

„Mając już rezultat narad wybranej przez Radę administracyjną ankiety, odbyła wczoraj taż Rada posiedzenie, na którem rozstrzygnęła sprawę konkursu.

Ale skład Rady administracyjnej był tym razem inny jak poprzednio. Zamiast hr. Badeniego, który złożył mandat do fundacyi Skarbkowskiej, wszedł inny członek Wydziału krajowego, pan Podlewski, a zamiast dr. Ciesielskiego, który wyjechał na święta w Poznańskie; wszedł rymarz tutejszy, pan Walichiewicz. Tak więc ze strony rady miejskiej zasiedli: lakiernik (Dąbrowski) i rymarz, którzy nigdy a nigdy w teatrze nie bywają, i dwaj członkowie Wydziału krajowego, dr. Wereszczyński i pan Podlewski, którzy codziennie bywają w teatrze.

Dr. Ciesielski wystosował pismo do kuratora z prośbą, aby się wstrzymano z rozstrzygnięciem konkursu teatralnego aż do jego powrotu z świąt, lecz panowie z Rady i kurator oparli się temu wstrzymaniu.

Pan Podlęwski, wszedłszy jako świeży członek do Rady administracyjnej i p. Wereszczyński zażądali odroczenia tej sprawy konkursu do dwóch dni, aby mogli pierwej odczytać dokładnie obszerny memorjał ankiety.

Pan Dąbrowski i pan Walichiewicz oparli się temu, podnosząc iż nie potrzebują odczytywania memorjału, bo oni mają już zdanie wyrobione. A gdy kurator książe Jabłonowski przychylił się do ich zdania, więc wniosek członków Wydziału krajowego upadł dyrymującym głosem kuratora.

Kurator odczytał list hr. Leopolda Starzeńskiego i listy Henryka hr. Łączyńskiego, Aurelego Urbańskiego i Jana Aleksandra Fredry, przemawiające za Miłaszewskim, te same listy, które hr. Starzeński jako członek ankiety na posiedzeniu ankiety odczytywać zaczął, ale ankieta na odczytanie nie zezwoliła. A odczytawszy, oświadczył ks. Jabłonowski, iż te listy znoszą opinię ankiety.

Gdy przyszło do głosowania, członkowie Wydziału krajowego oświadczyli się za pozostawieniem dyrekcyi Dobrzańskiemu, a rymarz i lakiernik za oddaniem jej Miłaszewskiemu.

Przy równości głosów dyrymował książe kurator, przychylając się do zdania o artystycznem kierownictwie teatru zamanifestowanego przez rymarza i lakiernika.

Tak więc od Wielkiejnocy obejmie pan Miłaszewski dyrekcyę i będzie przez wdzięczność wznawiać pogrzebane utwory miernych pisarzy dramatycznych, którzy swemi listami dopomogli kuratorowi do zdmuchnięcia jednem słowem opinii ankiety teatralnej.

W końcu nadmienić musimy, że główną sprawą odjęcia dyrekcyi teatru Dobrzańskiemu, a oddania jej Miłaszewskiemu był p. Józef hr. Drohojowski, jakto się sam publicznie przechwala.“

Panie Janie! — co się to Waszeci stało, by jeden z najstarszych dowódzców Tromtadracyi lwowskiej, co to naród pamięta jakoś na każdym kroku z dubeltówki całował nie tylko „lakierników“ i „rymarzy“ ale nawet szewców i to podobno rzeczywistych „partaczy“ — pijałeś z niemi „braterstwo dozgonne“ skądci się dzisiaj wzięło, aby tych „braci serdecznych“ — chcieć despektować, jakby nieprzymierzając, jakie zbankrutowany grafiątko galicyjskie.

Czy wypadkiem po tych własnych despektach niemyśliszpójść śladem Alfa Szczepańskiego na górę zbawienia do „Länderbanku“ — w służbę od nowego roku?

No, — co prawda to prawda — ale przyznać musisz panie Janie, że lakier p. Wacława Dąbrowskiego jest veritable nieprzemakalny i woda pełtwiańska niechwyta go się. — Tak samo skóra, jakiej używa rymarz Walichiewicz na produkcyę bóckowskiej pletni także się odznacza wybornym materyałem. Rzeczywiście, jest to rzeczą niesłychaną gdy taki lakiernik i rymarz ośmielają się łączyć w przekonaniach z takimi hr. Leopoldem Starzyńskim, Henrykiem Łączyńskim, Aurelim Urbańskim i Janem Aleksandrem Fredrą.

Dlaczego panie Janie nieprzytaczasz listu J. I. Kraszewskiego. — Sam więc wskazujesz, drogę Lwowianom, aby prosili Boga, iżby im przynajmniej z Nowym rokiem więcej dał takich „Lakierników“ i „Rymarzy“ — którzyby nie szli razem z Köweszami i temuż podobnymi; — nietumanili adresami — i więcej dbali o dobro ogółu — jak o własną kieszeń.

Ostatni adres o wdzięczności pana Miłaszewskiego, dowodzi, że p. Jan Dobrzański, stracił już nawet zmysł zachowawczy. Chcąc kogoś uderzyć, sam się poczęstowałeś panie Janie. Dalibóg! — my na twojem miejscu — wybralibyśmy się natychmiast do „Länderbanku“



S. p. Adam Konstanty książę CZARTORYSKI.

Wielkopolska poniosła znowu ciężką stratę, bo ubył jej obywatel, a jeden z tych, który gdyby był znalazł wielu naśladowców to dotychczas, pomimo najgwałtowniejszego najazdu, byłoby się bardzo mało dostało ziemi polskiej w ręce niemieckie.

Książę A. K. Czartoryski urodził się w Warszawie, z matki księżniczki Radziwiłłówny i ojca Konstantego, brata ks. Adama. Pierwszą młodość spędził w Puławach, poczem kształcił się w Anglii. W roku 1831 brał czynny udział w powstaniu, jako oficer bił się pod Grochowem.

Po upadku powstania, wyszedł za granicę. Tam poślubił córkę księcia Antoniego Radziwiłła, byłego namiestnika Wielkopolski. Przez małżeństwo to wszedł w pokrewieństwo z dworem pruskim. Dłuższy czas zamieszkiwał w Dreznie i Berlinie. Po śmierci małżonki, poślubił hrabiankę Elżbietę Działyńską, córkę śp. Tytusa i osiadł już stale w Wielkiem księstwie Poznańskiem, gdzie

zakupił najprzód dobra obszerne Jubosińskie, a następnie kilka innych znanych kluczów, któreby się niezawodnie dostały były w obce, a nie polskie ręce.

Śp. ks. Konstanty nie należał do tych osobistości, które gonią za zaszczytami i głośną sławą; ale że całą duszą i sercem kochał Polskę i lud polski, tego dawał dowody całem żywotem ziemianina.

Sp. księcia K. przypominamy sobie jeszcze z r. 1849 i następnych lat. Zwrócił on zaraz uwagę na siebie swym skromnym żywotem i ujmującą uprzejmością, a znany był z tego, że we wszelkie potrzeby zaopatrywał się tylko w polskich handlach i u polskich przemysłowców. Wypada nam powiedzieć, że to były czasy, w których z powodu zapatrywań politycznych pod względem przyszłości polskiej, nazwisko ks. Czartoryskich było w Wielkopolsce tylko w pewnych sferach popularne. Tak zwana demokracya stała z niem w nieustającej walce.

Z drugiej strony rodzina Działyńskich, z którą się zrosła miłość i serdeczna życzliwość całej Wielkopolski, obchodziła każdego Polaka. Każdy czuł się z nią duchem pokrewny. Otóż gdy rozeszła się wieść, że śp. hrabia Tytus wydaje jedną z cór za księcia K. Czartoryskiego, to demokratyczna część Wielkopolski czuła powinien żal do niego; — boć to dziecko Tytusowe, to jakby brat rodzony lub siostra każdego Wielkopolanina. Wkrótce jednak pierwsze wrażenie zostało zapomniane, gdy się przekonano, że małżonek hrabianki Elżbiety nie pozostanie obcym przy domowym ognisku Działyńskich.

Cichy ale sumienny pracownik był on prototypem ziemianina polskiego, który ukochał nietylko ziemię rodzinną, ale i lud polski. W dobrej i złej doli dzielił on z niem radość i smutek. Był mu ojcem, bratem, przyjacielem szczerym w słowie i czynie. W książęcym dworze nie ujrzałeś tam marnych błyskotek, nie spotkałeś się nigdy z czczemi formami, które z daleka już wołają: „bij. przedemną czołem, bo ja pan z panów!" Nic cię tam nie raziło, nie ziębiło, nie upokorzyło, chociaż byłbyś nawet żebrakiem. Witano tam i dopatrywano tylko człowieka — uczciwego Polaka.

Sp. książę Konstanty liczący się ściśle z każdym groszem, nie wychodzący nigdy po za granice miernego żywota w materyalnem znaczeniu, był natomiast hojny tam, gdzie rzeczywiście potrzeba było nieść pomoc nędzy bliźniego, oświacie i wszelkim sprawom polityczno-patryotycznym. Nie długiego potrzeba było czasu żyjąc tak, aby pozyskać coraz niepodzielniejszy szacunek szlachty mieszczan, a szczególniej braci z pod słomianych strzech.

Czem dzisiaj dla podniesienia moralności i dobrobytu jest Rymanów w Galicyi, tem było i pozostało Rokosowo w Poznańskiem. Tam i tu Bóg pobłogosławił córom śp. Tytusa, dając im za towarzyszów żywota ludzi, z tąż samą harmonią duszy, serca i myśli.

Kto sobie przypomni, tylko wystawę krajową z roku 1877. we Lwowie, ten nie mógł nie zauważyć w pawilonie prac kobiecych, prawie podziw wzbudzającego działu wyrobów przemysłu domowego włościanek z Rokosowa.

Patrzeliśmy wprawdzie tylko na pierwsze lata prac śp. ks. K. w Wielkopolsce, opuściwszy takową już dawno, dochodziły nas jednak często prawdziwe echa ztamtąd o ks. K. ale zawsze na wskróś polskie — serdeczne.

Wypadek jednak zdarzył, że przed kilku laty widzieliśmy na własne oczy żywe świadectwo obywatelskiego żywota — w odrodzenie i to w Galicyi — w Sanockiej ziemi, w Rymanowie. Drogą od Iwonicza jedziemy podczas pięknego dnia letniego i spostrzegamy długi szereg kosiarzy zajętych cięciem bujnej łąki. Mimowoli zwracał na siebie uwagę rosły muszkularny przodownik, a po ubiorze już samym można było się przekonać, że to nie kosiarz włościanin i nie za płacę dzienną zwijający się tak dziarsko i z taką wprawą władający mieczem Bartosza Głowackiego, że cały zastęp górali z Beskidów tylko z trudnością może za przodownikiem podążyć. Kazaliśmy zwolnić konie, aby się dłużej tym ciekawym wyścigom przypatrzeć. Dojeżdżając, przekonaliśmy się, że to ani rządca, ani ekonom z dóbr rymanowskich, ale rosły zaledwie dwudziestokilkoletni młodzian nam nie znany.

Zaledwie kosiarze skończyli pokos, poostrzyli kosy — już znowu z przodownikiem po wszelkiej formie zdążają do drugiego. Pojechaliśmy dalej, dążąc ku gościnnym progom rymanowskiego dworu. Gospodarstwa nie zastaliśmy w domu — ale któż nie pojmie naszego zdziwienia, gdy w godzinie południowej przychodzi ten sam przodownik kosiarzy, a w którym poznajemy starszego syna ś. p. ks. Konstantego i Elżbiety ks. Czartoryskich. Poznawszy go bliżej przekonaliśmy się, że młody książę nietylko z kosą, ale z pługiem, z cepem i wszelkiemi innemi pracami, jakie wieśniak przy roli spełnia, był najgruntowniej praktycznie obznajomiony, co żadnego uszczerbku jego umysłowemu wykształceniu nie uczyniło.

Pojmie każdy, jakie myśli nasuwało nam tego rodzaju wychowanie, przyszłego ziemianina polskiego. Kilkotygodniowy pobyt tego młodzieńca w Rymanowie, zjednał mu serca nietylko tak zwanych Mazurów, ale i Rusinów, którzy z szczególną czcią i uwielbieniem na niego patrzali. Nie potrzebuję wspominać, że i wszelkie zbliżanie się do ludu było odpowiednio taktowne i serdeczne.

Ten jeden rys powinien wystarczyć, aby zrozumieć jaką nową klęskę Wielkopolska poniosła tracąc obywatela, który takich synów umiał wychować — nie w cudzoziemskiej ani też na polską ziemię przeniesionej, ale w rodzinnem pojęciu polskiej szkole obowiązków żywota.

Dla czegoż ci wszyscy, których testamentalnym świętym obowiązkiem jest służyć na rodzinnym zagonie i stać na straży ojców spuścizny, nie wychowują w takiej szkole swych synów? — Oj! wtenczas nie wydzierano by nam z pod nóg tej wiekowej podstawy, która bogactwo i siłę stanowi.

Sp. książę Konstanty Czartoryski ten cichy a jednak tak dzielny pracownik polski, pozostawia braciom całej Ojczyzny w żywym testamencie spisane prawdy ku wiecznej pamięci, jak bronić mają ziemianie tej świętej ziemi naszej.

Cześć pamięci dobrze zasłużonego Ojczyźnie syna!

J. N. z O. G.

Kronika.

Przy Nowym Roku nie zapominajmy, że w murach miasta Lwowa grasuje straszna nędza. — Mnóstwo rodzin wlecze żywot smutny, bo pozbawione są najpierwszych potrzeb do życia. Gromadki na wpół nagich dzieci, drżą od zimna na barłogach w wilgotnych norach.

Nie zapominajmy, że zorganizowało się we Lwowie Towarzystwo, które niesie pomoc prawdziwej nędzy. Przenoszone odzienie, bielizna stara, obuwie, artykuły spożywcze, lub chociażby kilka centów są nader pożądane.

Artyści Polscy ofiarowali na „Gwiazdkę" hr. Włodzimierzowi Dieduszyckiemu album, zapełnione ich oryginalnemi pracami. — Zaiste, myśl to nader szczęśliwa, bo jeżeli kto, to ten znakomity Obywatel zasługuje na taką pamięć, który całego żywota niezmordowaną pracą i ofiarnością krzepi żywotne siły narodowe. Zajął on odrębne stanowisko, ale wielce użyteczne i nacechowane nieograniczoną miłością dla Ojczyzny. Z daru, jaki otrzymał, cieszą się ci wszyscy, którzy tak samo czują i myślą, jak ten mąż szlachetny, a dzielny pracownik na niwie polskiej.

Józef Czajkowski, starzec 74-letni, który miał umieszczenie w Zakładzie w Drohowyżu, wydalił się ztamtąd nie mogąc dłużej znieść opieki, jakiej tam doznawał.

Zmuszony był mieszkać w wilgotnych suterenach i to razem ze stróżami — znosić tychże gburowate znęcanie się. Ś. p. hr. Skarbek pozostawił fundusze na utrzymanie 400 ubogich w Drohowyżu. Obecnie, powinno się tam znajdować przynajmniej 50 starców, a jest tylko kilkunastu.

Józef Czajkowski, przyniósł ze sobą butelkę kawy, jaką w tym Zakładzie dostają starcy. Wywar ten zafarbowany rozcieńczonym mlekiem, jest niewypowiedzianie obrzydliwego smaku, — i potrzeba czuć wielki głód, aby mieć odwagę spożyć takowy.

Odebraliśmy równocześnie obronny memoriał z tej nieszczęsnej, nieuczciwej gospodarki w Zakładzie, który niebawem podamy do publicznej wiadomości.

Dziś, wolno nas szkalować i potępiać, my jednak będąc na te pociski obojętni — z równą wytrwałością jak w sprawie kulparkowskiej, wywalczymy i zmienimy wszystko na lepsze dla Zakładu Drohowyzkiego.

Radzimy, aby każdy kto się poczuwa do winy, usuwał się dobrowolnie i jak najspieszniej tak z Fundacyi skarbkowskiej w ogóle, jako też z Zakładu w Drohowyżu szczególe.

Ostrzegamy, że postępować będziemy bezwzględnie.

Wszelkie organizacye Maffii przeciw Strażnicy polskiej i Sztandarowi polskiemu — nie zastraszą tychże.

Dla tych, co rozbijają moralnie i materialnie siły narodu, niema i nie będzie litości.

☞ Odtąd i nadal, aż do odwołania, wszystkie miejscowe i zamiejscowe listy i przekazy pieniężne dla naszej Redakcyi lub Administracyi, prosimy przesyłać pod adresem: **Do Redakcyi (lub Administracyi) „Sztandaru polskiego" (lub „Strażnicy polskiej"), na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, w drukarni p. Anny Wajdowiczowej, Rynek, l. 9, we Lwowie.**

Lwów, dnia 12. Listopada 1880.

Z poważaniem **J. N. z Oleksowa Gniewosz,** odpowiedzialny Redaktor.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny J. N. z Oleksowa Gniewosz. Z drukarni Anny Wajdowicz (pt. Poremby), Rynek l. 9.

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.